ROK XIV. WRZESIEŃ 1933. Nr. 7.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

TREŚC:

Prenumeratę prosimy wpłacać na Nr. konta P. K. O. **409.870**
Marja Sawicka Księgarnia Orbis

Dopisywanie na czekach „Orli Lot" do tego Nru jest mylne i P.K.O. wpłaty nie przyjmuje.

Adres Komisji K. K. M. S., Kraków, **Oleandry 4.**

Cena tego zeszytu 50 gr.

Cena tego zeszytu 50 gr.
ROK XIV. WRZESIEŃ 1933. Nr. 7.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI W R. 1914.

ZYGMUNT KISIELEWSKI [1]).

Józef Piłsudski.

Józef Piłsudski jest sam z siebie.

Jeślibyśmy chcieli szukać źródła, z którego czerpała dusza bohatera, nie byłby nim człowiek, ani książka, ani teorja. Gdy zapytano Cromvella, z jakiej pochodzi rodziny, odrzekł: sam siebie narodziłem. Nie znamy z życia naszego wodza wyrażenia, któreby nam rozświetliło tajemnicę jego duszy, albo, że nikt słowa takiego nie pochwycił, albo, że ten samotny człowiek mówił je sobie, gdy go nikt nie mógł usłyszeć, gdy podszepty ducha ważył na Syberji, w celi więziennej, albo w tym najstraszniejszym kryminale, w jakim społeczeństwo zamyka zawsze jednostkę samodzielną — indywidualność.

Rodzicem Piłsudskiego były głosy mogił powstańczych, domagające się nie skargi, lecz pomsty i czynu. Kto płomień tradycyjnej wojny Polski z Moskwą podał Piłsudskiemu? Może matka, którą tkliwie wspomina po dziś dzień. Być może. Bo, gdy jako młodzieniec opuścił dom, a świeża wola i rozgorzała myśl z tęsknotą szukały żywego oparcia, ten żołnierz polski w przyszłości, w Polsce całej nie znalazł nikogo. Wszystko jedno, czy szukał tego oparcia świadomie, czy też jaźń dręczona czczością, poszukiwała go nerwowo, pukając do serc lepszych, popychając do działania wszędzie, gdzie własna, osobista, rodzona myśl mogła znaleźć swój wyraz, czyli formę. Nie znajdował jej nigdzie. Wszystko to, co działo się wówczas w Polsce, między rokiem 1880—90, po upadku pierwszego Proletarjatu, a przed powstaniem P. P. S., wszystko to nie odpowiadało tęsknicy, żrącej Piłsudskiego.

Więc, aczkolwiek z ludźmi, był jednak sam. Los, który najcięższemi próbami nęka swoich wybranych, czyniąc ich narzędziami niezbadanych zamiarów, nie poskąpił Piłsudskiemu długich, ludzką miarą nie dających się wymierzyć, okresów przebywania na pustyni. Pustynia, czyli samotność ducha, była ojczyzną Piłsudskiego. Jego chłodne, siwe oczy zawsze z pośród otoczenia zapuszczały się w dal nieskończoności, tam, skąd zarówno poeta, jak i mąż czynu biorą wiedzę, jak żyć i co robić.

Tam, gdzie przebywał duch jego matki, którą w chwilach ważnych pytał o radę... jak mówił Sieroszewskiemu.

Tak właśnie. Gdy nikt z żywych radą służyć nie mógł, bo ścieżek samotnych nie znał, — trzeba było szukać natchnienia w krainie duchów.

Stamtąd nadchodzą rady i podszepty, gdy wszelka „prawda realna“ wychodzi tylko z tego, co już jest, ponieważ jest namacalne, zaś szydzi z tego, co również jest, aczkolwiek dopiero w polu widzenia tylko jednostek.

Znający dokładnie przebieg wypadków życia Józefa Piłsudskiego, dobrze wiedzą, iż ten wódz odradzającej się Polski, otoczony dziesiątkami tysięcy żołnierzy, gloryfikowany przez całą żywą Polskę, że ten sam człowiek, w oczach naszych urastający do patosu bohaterów narodowych, nie tak dawno jeszcze stał absolutnie sam. Odsunęli się od

---

[1]) Przedruk z Kalendarza Legjonistów z r. 1917.

niego najbliżsi przyjaciele, nie rozumieli go ci, z którymi żył i działał, kochany przez nich, ceniony, uznawany.

Opuścili go wszyscy.

Życie Piłsudskiego, jak żywot każdego twórczego ducha, w spiralnym ruchu wzwyż, zawsze wraca do pewnego stałego punktu — do bezwzględnej samotności. I nie sądzimy, że stało się to już po raz ostatni. Niedaleka już może chwila, gdy Piłsudski znowu stanie samotny, i gdy znowu będą nań sarkać. Nie wiemy zresztą, ile w czasie tego, nad wyraz tragicznego — acz — jeśli idzie o chwałę osobistą — tryumfalnego okresu, począwszy od 6 sierpnia r. 1914, ile w tym okresie wojny krwawych godzin samotności przebył Piłsudski. Ile razy mówił to, co tłum gadał, wiedząc, że trzeba mu ustąpić; ile razy musiał dawać uścisk przyjacielski zdradliwej ręce, co mu jutro miała rzucić pod nogi kamień?; ileż to razy słowo biczującej wzgardy musiało wisieć na wargach męczeńskich, co uśmiech musiały udawać. Musiały! Albowiem tylko dziecię, tłum i charłak krzyczy, gdy go boli. Albowiem tylko młodzieniaszek, człowiek słaby i lekkomyślny, powiada to, co wie, w chwili, gdy szczerość byłaby gadulstwem. Ale wrócą zdrajcy prędzej lub później do samotnego, uznają go niewierni, słuchać go będą krnąbrni. Albowiem, jak czyny jego pokazały, ma Piłsudski za sprzymierzeńca wielkiego: prawdę i natchnienie czasu, co przezeń mówi, działa i tworzy.

Jeśli ojcem Piłsudskiego jest samotność, to matką jego wiara. Nie dogmat, nie doktryna, lecz wiara głęboka, tkwiąca w naturze rzeczy, z którą wszelki prawdziwy duch w chwilach samotności twarzą w twarz obcuje: wiara w coś, co jest poza nami, a co jest ładem, myślą i sprawiedliwością; wiara w istnienie niezłomnej prawdy, bytującej tak realnie, jak człowiek, góry, morze i gwiazdy; wiara, co nie zna artykułów, ale ma serce, widzące wielkość w każdym żywocie, w żywocie zarówno głupca jak i mędrca, słabego i mocnego, prostaka i króla.

Wiara — mądrość — serce. Stąd siła moralna Piłsudskiego. Żołnierze kochają go, wierzą mu, oddają mu swe życie, jak ojcu. Wiedzą, że nie pośle ich na śmierć dla zachcianki błyskotliwej, ponieważ zna cenę krwi ostatniego szeregowca, krwi równie cennej dla ojczyzny, jak krew jego własna. Och, zdarza się z pewnością, iż wolałby leżeć w rowie i czoło myślami obciążone nadstawić na wesoły świst kuli, niż czuwać gdzieś w bezpiecznem miejscu nad doskonałością krwawego rzemiosła. A co najważniejsze — nie jest on wojakiem z temperamentu, z gorącej krwi, z fantazji i niepohamowania, z brawury — ale z konieczności, ponieważ tak wypadło, ponieważ Polska potrzebuje rycerzy obrońców.

Kiedyś był mówcą, agitatorem, „dromaderem“, wożącym bibułę, rewolucyjnym demokratą; kiedyś mógł udawać warjata, włóczyć się po zaułkach, szukać człowieka po fabrykach, wzniecać burzę w sercach prostych i pokornych, kryć się jak pająk, nastawiający sieci. To się skończyło. Przeszedł czas bojowania, potem przyszedł czas wojny.

Był bojowcem, teraz jest żołnierzem.

Czem będzie w przyszłości? Z pewnością nie tem, do czego pchnąć mogłyby go wyrobione koleiny myślenia, nawyknienie, karjera, sława. Piłsudski będzie robił to, co mu czynić każe jego myśl samorodna, po-

częta na pustyni. Pójdzie tam, dokąd mu pójść każe jego wiara w człowieka, w naród, w Boga. Jeśli go opuszczą, pójdzie znowu sam, pójdzie drogą samotną twórcy, wielkiego działacza, jasnowidzącego, czyli drogą człowieka, który na podstawie przesłanek niewidzialnych dla ogółu, wysnuwa wnioski tak niewątpliwe, jak wniosek na owem historycznem zebraniu w roku 1908, gdy ku zdumieniu, szyderstwu, niechęci wszystkich oświadczył, iż rozpocznie budować armję polską.

Kpili z niego, lecz on uśmiechał się z dobroduszną wyrozumiałością. A gdy mu zanadto dokuczyli ludzie wąskiego serca i ciasnego widzenia, powiedział im: ja tak chcę — i narzucił im swoją wolę. Przez niego mówił wówczas genjusz narodu.

Łatwiej tworzyć było Legjony Dąbrowskiemu, gdy w narodzie żyła bezpośrednia tradycja polskiego żołnierza, łatwiej było Belwederczykom zrobić bunt i rozniecić wojnę, gdy istniało polskie wojsko, łatwiej było czerwonym wywołać powstanie, gdy wspierał ich żywioł narodu, domagający się już od dwóch lat czynu; ale zorganizować wojsko, gdy tradycja żołnierza zaginęła, gdy szabla była drewnianą szabelką, a polski żołnierz papierową lalą, gdy rycerza polskiego znaliśmy z książki lub z obrazka, gdy byliśmy antymilitarystami, gdy wojna stanowiła czynnik niezależny od nas — w takich okolicznościach brać się do zorganizowania polskiej armji, mając wszystkich przeciwko sobie, bez szkoły, bez pieniędzy, tylko z wiarą w swoją prawdę i w sumienną czystość zamiarów — mógł tylko człowiek, jakiego narodom dają losy w chwilach wyjątkowych.

To też trudno znaleźć porównanie, gdy chcemy zjawisko Piłsudskiego ku sobie przybliżyć — nie starajmy się o to. Zbyt aktualną jest osoba naszego wodza, aby można ją wtłoczyć w jakąś formułę.

Piłudski jest jedyny. Nie wiadomo, do jakiej miary olbrzymie wypadki, w których bierzemy udział, pozwolą rozrosnąć się jemu i jego sprawie, ale to, czego już dokonał twórca ruchu wojskowego w Polsce, zawiera w sobie składniki doniosłości dziejowej. Bez niego nie byłoby Strzelców, bez Strzelców nie byłoby 6 sierpnia 1914 r., którego najistotniejszą sprężyną był Piłsudski. Ryzyko i odpowiedzialność, jaką wówczas wziął na siebie, posunięcie, które zrobił, wchodząc do Królestwa, rozbudziło naród do czynu, posiadającego już możliwość realizacji marzeń w organizacjach wojskowych. Stąd powstał N. K. N., Legjony Polskie, P. O. N., z tego jednego czynu prawdziwie błogosławionego poczęło się wszystko, cokolwiek stało się w czasie wojny światowej na obszarze całej Polski. Bez 6 sierpnia, czyli bez Józefa Piłsudskiego, bylibyśmy wszystkiem, tylko nie narodem, który żyje, a więc czegokolwiek chce, który ma wolę do życia.

I rzecz szczególna! Czemże, biorąc sprawy rachunkowo, jest ten Piłsudski? Komendantem kilkunastu tysięcy żołnierzy.

Ale żołnierze ci — to żołnierze polscy, polscy ochotnicy. Wyrażają wolną wolę narodu i są przez ten naród ukochani i popierani. Siła ich materjalna drobna — siła moralna olbrzymia. Może istnieć organizm bez nogi i bez ręki, ale bez głowy i bez serca istniećby nie mógł. Piłsudski i polski żołnierz — to myśl i serce Polski. Znaczenie jego polityczne jest olbrzymie. On to polską sprawę wynosi samym faktem swego istnienia. Znaczenie moralne jest jedyną wartością, która zacho-

wała się wśród zgliszcz, ruiny i tragedji materjalnej. Niby gwiazda północna, nigdy miejsca nie zmieniająca, świeci nam wśród zniszczenia cel dążeń i usprawiedliwienia niedoli narodu — a jedno i drugie usymbolizowany wyraz znalazło w polskim żołnierzu. Jest wreszcie znaczenie Piłsudskiego i jego dzieła ważne, jako czynnik wychowawczy dla współczesnego i dla następnych pokoleń. Ideał rycerza stanął żywy pośród nas. Legendy i śpiewy narodowe, polskie słowo, tęsknota i żądanie, co zwracać się musiały do grobów i z popiołów wyjmować pożywienie konieczne dla żywych, psycha polska, włócząca się dotąd po cmentarzach, by zaczerpnąć wiary w siebie, dzisiaj pije i pić będzie przez dziesiątki lat z żywego źródła, w którem bije heroicznie serce polskiego rycerza.

To są dziejowe zasługi Józefa Piłsudskiego. Gdyby tylko tyle był uczynił, dość jest, by mu dać miejsce pośród najwyższych duchów polskich.

Ale droga jego jeszcze wcale nie zamknięta, mozolna męka samotnego twórcy będzie trwała. Niejeden lauru liść spadnie na głowę tego męża, niejeden cierń jeszcze dłonie własnych rodaków wbiją w jego skroń.

Lecz on i laur i cierpienie przyjmie zagadkowym uśmiechem dobrodusznej ironji i sarkazmu nad sobą i nad innymi.

Albowiem on iść musi, bo dzieło jego jest koniecznością silniejszą nadeń, przerastającą chęć i niechęć tych, co idą z nim albo przeciwko niemu.

Józef Piłsudski jest człowiekiem tragicznym.

Przezeń, niby przez krater wulkanu, szuka sobie dróg żywioł dziejów...

W. SIEROSZEWSKI [1]).

Mobilizacja

3-go sierpnia 1914 r.

W pierwszych dniach sierpnia doszło do porozumienia się z „Drużynami Strzeleckiemi“, które poddały się bez zastrzeżeń, pod dowództwo Piłsudskiego. 3-go sierpnia oficer Burhardt-Bukacki przyprowadził do Oleandrów oddział z 74 Drużyniaków w pełnym rynsztunku. Ze „Strzelców“ wybrano taką samą ilość przeważnie Królewiaków. Z magazynów zaczęto wydawać wybranym żołnierzom tornistry, ładownice, Mannlichery i po dwieście ostrych naboi. Nastrój gorączkowy i wzniosły dosięgnął szczytu. Po południu zapowiedziano przybycie komendanta. Istotnie około trzeciej wśród ustawionych naprzeciw siebie Strzelców i Drużyniaków, pojawił się Piłsudski w strzeleckiej maciejówce na głowie i ze szpicrutą w ręku; przyjął raport i odbył szczegółowy przegląd żołnierzy, poczem wygłosił krótką, energiczną przemowę tej treści: **„Odtąd niema ani Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu je-**

[1]) Przedruk części artykułu z książki: „Legjony na polu walki“, Piotrków 1916.

steście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne odznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie mam nadzieję, zniknie najlżejszy cień różnicy między wami.“

Po skończonej przemowie oddał swój znaczek naczelnikowi Drużyn, a jego blaszkę przypiął do swojej czapki; wielu z obecnych uczyniło to samo. Wzruszenie było powszechne i ogromne; niedawni przeciwnicy i współzawodnicy ściskali się ze łzami w oczach. Poczem utworzono wspólne szeregi ze wszystkich zebranych w Oleandrach żołnierzy, przemaszerowano kilka razy po placu i znowu zestawiono ich w dwurzędzie z bronią u nogi. Piłsudski chodził przed frontem z głową pochyloną, założywszy jedną rękę za plecy, a drugą za burtę kubraka na piersiach. Zapadł zmierzch; w dali Kraków zabłysnął wieczornemi ogniami. Młode twarze Strzelców bielały równym rzędem, jak wykute z marmuru, nad ścianą wyprostowanych nieruchomo ciał, oczy ich jeno śledziły pilnie za najmniejszym ruchem naczelnika. W tem tenże podszedł do grupy oficerów, stojących na uboczu i wydał krótki rozkaz. Jeden z oficerów wystąpił z papierem w ręku i wzruszonym głosem zaczął z imienia i nazwiska wywoływać żołnierzy z rozmaitych plutonów. Wychodzili w pełnym rynsztunku z bronią na ramieniu i stawali w osobnym ordynku. Cisza zaległa na całym placu tak głęboka, że słychać było przyspieszone oddechy tych, co czekali na swoją kolej. Ze 113 zapisanych na szkołę podoficerską Strzelców wywołano 98; do nich przyłączyła się równym krokiem cała kolumna Drużyniaków.

A my?... ozwały się nieśmiałe głosy w pozostałych szeregach.

„Baczność!..“

Umilkły głosy. Jeden z żołnierzy, stary znajomy Piłsudskiego, odważył się nawet podbiec do niego, ale ten wstrzymał go niecierpliwym ruchem ręki.

„Żołnierze!... zaczął nagle surowym głosem:

„Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idąca walczyć za oswobodzenie Ojczyzny, Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów wrócić do stopnia szeregowca, czego oby nie było... Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię!...“

Żaden głos nie ozwał się w ciemnych szeregach żołnierzy, ale w zebranej nieopodal publiczności głośno płakano.

Wybraną kompanię natychmiast odłączono od innych. Nocowała w osobnej sali. O 3-ej godzinie rano przyjechał Piłsudski i zrobił

próbny alarm. Dzień następny kadrówka spędziła w koszarach, czyniąc gorączkowo ostateczne przygotowania do drogi.

Tegoż dnia wieczorem, gdy żołnierze jeszcze nie pokładli się spać, korzystając z ciepła i cudnego blasku księżycowej nocy, błądzili tłumnie po podwórzu, w bramie ukazał się jakiś rycerz na siwym koniu. Był to Belina-Prażmowski, który wracał z wywiadów z Królestwa i prowadził stamtąd pięć koni, zaczątek naszej przyszłej jazdy, oraz wiadomość, że przez śmiały manewr 7 uzbrojonym strzelcom udało się powstrzymać mobilizację w okolicach Jędrzejowa, wypędzić stamtąd władze rosyjskie i straż pograniczną. W nocy z 4-go na 5-go znowu zaalarmowano kadrówkę, ale i tym razem nie poszła do Królestwa. Wyprowadzono ją na ćwiczenia na błonia.

Piłsudski miał do pokonania wielkie trudności...

Dopiero 6-go o 3-ej rano wyruszyła kadrówka z Krakowa pod dowództwem porucznika Kasprzyckiego. Poprzedzał ją maluchny patrol konnicy z 8 ludzi, z których trzech niosło siodła na sobie, gdyż konie mieli dostać dopiero za granicą. Piłsudski odprowadził oddział za miasto, które okrążono cicho i niepostrzeżenie. Polecono oddziałowi zająć Miechów, ale nikt o tem nie wiedział, prócz dowódcy i gdy po dojściu do szosy za miastem na prawo ku granicy, zwrócono chwilowo na lewo, rozpacz i szemranie wybuchły w szeregach. Okrzyk „baczność!“ stłumił je wszakże natychmiast, a wkrótce potem zwrot ku granicy wrócił w szeregach wesołość. Pod Słomnikami padły pierwsze strzały, nasza konna szpica strzelała do straży pogranicznej, która znowu wróciła. Moskale cofnęli się pośpiesznie, zostawiając jednego zabitego i jednego rannego...

Zaczęła się wojna.

Piłsudski tymczasem ekspedjował z Krakowa II-ą i III kompanię. Udały się one nie wprost, a drogą okólną na Krzeszowice, gdzie urządzone były składy broni, gdyż pierwiastkowo projektowane było wkroczenie Strzelców do Zagłębia Górniczego, w którym były silne, tajne organizacje wojskowe, czekające jeno sygnału.

Ale tam już wkroczyli „inni“.

Wszystkie więc oddziały skierowano na Miechów.

8-go sierpnia przyjechał tam Piłsudski.

Nareszcie znalazł się on u szczytu swych marzeń; stanął do otwartej walki z odwiecznym dręczycielem i najeźdzcą Ojczyzny.

GUSTAW DANIŁOWSKI [1]).

Szósty sierpnia 1914.

Pamiętam, gdy dnia tego na zebraniu Komisyi Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych zjawił się Piłsudski, by zawiadomić, iż postanowił wkroczyć ze swym oddziałem w granice Królestwa Polskiego, że postanowienie to jest nieodwołalne, rozkazy wydane, pierwsza kompania już przekroczyła kordon, a wymarsz następnych w określonym terminie nastąpi.

---

[1]) Przedruk z „Kalendarza Legjonistów“ z r. 1916.

W sali zapanował moment tej ciszy, która towarzyszy czynom wielkim i decydującym, potem rozległy się brawa, życzenia pomyślności. Komendant wyszedł, by kończyć gorączkową sprawę organizacji oddziału — tegoż dnia po południu wyjechał, a nocą bez ostentacyjnych pożegnań, niemal tajemnie, wyruszyły oddziały dwiema drogami: na Ojców i Słomniki, by połączyć się w Miechowie.

Z uczuciem podniosłej dumy przekraczaliśmy kordon, z niedającą się określić radością, że nie chyłkiem, ale otwarcie, jawnie, z pieśnią na ustach i werndlem w ręku wracamy po latach w otwarty bój.

Wśród różnorodnych wrażeń, uprzednio nam nieznanych, a przeżywanych w tych chwilach tak obficie, mieliśmy jedynie mętne poczucie doniosłości czynu Piłsudskiego, którą dopiero teraz jesteśmy w stanie uświadomić sobie dokładnie. Dziś rozumiemy wszyscy, że 6-ty sierpnia był niejako odwróceniem bladych kart historji Polski, by rozpocząć nową bijącą ogniem stronicę, że gdyby Piłsudski nie powziął tej śmiałej nieco może ryzykownej decyzji, cała sprawa mogłaby utonąć w powodzi dyskusji, w poszukiwaniu racjonalnej orjentacji, której małoduszni od roku szukają i znaleźć nie mogą, że w grzmocie dział, którym zostaliśmy powitani pod Kielcami — urodziły się Legjony Polskie, nastąpiła decyzja stronnictw Galicji, jęły się łamać lody obojętności Królestwa. Bez względu na to coby się stać miało, dzień 6-go sierpnia i tworzące się w tym dniu Legjony uratowały honor Polski. Oddziały Piłsudskiego bagnetami swymi wyniosły z otchłani zapomnienia sprawę polską, zamanifestowały samoistość jej aspiracji, istnienie jej życiorodnych sił, wyryły bagnetami na tablicy dziejów płomienne głoski, które się palić wiecznie będą w duszy narodu.

Do takich dni, jak dzień 29-go listopada, 22-go stycznia przybywa równorzędna, w nieobliczalne skutki brzemienna nowa data, a do panteonu bohaterów narodowych przybywają nowe imiona, a przedewszystkiem imię naszego Komendanta, równie wzniosłe w intencji, a o tyle szczęśliwsze że zwycięskie.

Naród błądzący od katastrofy 63-go roku manowcami, w dniu 6. sierpnia wkroczył na właściwą drogę, którą szedł od rozbiorów, wiedziony zdrowym instynktem, na drogę walki zbrojnej o wolną swą egzystencję. I walka ta porywa za sobą najszlachetniejsze dusze.

Bitność i czyny Legjonów są dziś powszechnie znane. Przybyły nam nowe święte mogiły, które się staną celem pielgrzymek pokoleń. Chwała polskiego oręża rozwinęła swe wspaniałe skrzydła nad ziemią ojczystą. Krew mężnych przywraca jej wybladłemu obliczu gorący rumieniec życia. Tajemny wyrzut sumienia budzi sie w duszach bezczynnych. Groźny pomruk rozlega się od strony — Warszawy.

Do niej w krwi i bitewnej kurzawie dążyły Polskie Legjony, by z rąk stolicy przyjąć należny im za dzień 6-go sierpnia sztandar zwycięski i klucze jej serca.

STEFAN BYKOWSKI (Gimn. im. Kopernika w Bydgoszczy).

Po Zjeździe.

Garść wrażeń i refleksyj.

Przez dobę Zjazd poprzedzającą na bydgoskim dworcu panował jakiś dziwny, uroczysty nastrój.

Wśród szarego tłumu podróżnych można było zauważyć tu i ówdzie liczne sylwetki sztubaków. Usposobieni odświętnie, o minach wielce podnieconych, czasem bardzo sztucznie poważnych lub wyraźnie zdradzających objawy zniecierpliwienia, w większych lub mniejszych grupkach, spacerowali namaszczonym krokiem, zwracając na się biało-zielonemi opaskami na rękawach uwagę wszystkich obecnych.

To dyżurujący przewodnicy Bydgoskiego Zrzeszenia Kół Krajoznawczych oczekiwali pociągów, które z najdalszych zakątków Polski miały przywieźć licznych gości na VI. Ogólnopolski Zjazd Młodzieży Krajoznawczej do Bydgoszczy.

Czas płynął. Mijały godziny. Przykryte obłokami czarnego dymu, potworne, krzykliwe, ogniem ziejące lokomotywy, sapiąc i dysząc ciężko, przywoziły co pewien czas przed obszerny peron długie łańcuchy wagonów, napełnionych zjazdowiczami.

Zawrzało i zaroiło się jak w ulu w olbrzymiej hali dworcowej od najrozmaitszych mundurków, czapek szkolnych i berecików.

W on czas pamiętny, odcinek drogi, wiążącej kilkoma ulicami gmach dworca z biurem ewidencyjnem i kwaterami noclegowemi, nie mógł żalić się na brak ożywionego ruchu. Raz po raz długie szeregi młodych krajoznawców, zasapanych niczem te lokomotywy pod ciężarem do przesady wielkich waliz i pakunków [1]), maszerowały „raźno“ pod troskliwą opieką przewodników do biura ewidencyjnego, skąd po długiem oh! jakże długiem na bruku czekaniu na załatwienie drobnych formalności zjazdowych, udawały się na słodki, pierwszy, zjazdowy, wybitnie oryginalny — chociaż niezbyt wygodny nocleg.

Pierwszego dnia zjazdowicze zostali wprost oczarowani „rozrzewniającem“ przyjęciem, jakie im zgotowano w prastarych murach nadbrdziańskiego grodu.

Gościnna Bydgoszcz, świadoma przypadającego zaszczytu, witała serdecznie swoich gości, po staropolsku — czem chata bogata — sercem szczerem i słowem, sympatycznymi przewodnikami, kawą wojskową i serdelkami.

Tego samego dnia, zrana, uczestnicy Zjazdu odbyli przyjemną przejażdżkę parostatkami do Brdyujścia. Dzięki niej mieli sposobność zapoznać się z przepiękną okolicą Bydgoszczy i jej malowniczemi krajobrazami.

Czas popołudniowy wypełnili zwiedzaniem Wystąwy Krajoznawczej, która z okazji Zjazdu została urządzona przez miejscowy Komitet Oddziału P. T. K. Piękna ta i interesująca wystawa, gromadząca w obszernej sali Szkoły Wydziałowej Męskiej liczne eksponaty regjonalnej kultury Pomorza, prace Kół Krajozn. Młodz. Szkolnej i pierw-

[1]) Odnosi się to wyłącznie do „płci pięknej“.

szego w Polsce foto-konkursu krajoznawczego młodzieży, stanęła na wysokim i należytym poziomie.

Sądząc z eksponatów, niektóre Koła mogły się poszczycić cennym dorobkiem całorocznej pracy. Specjalnie wyróżniały się prace, zarówno szkół średnich jak i powszechnych Bydgoskiego Zrzeszenia Kół Krajozn., które w krótkim stosunkowo czasie okazało się na terenie miasta, jako bardzo żywotna i intensywnie działająca organizacja młodzieży. Nie gorzej reprezentowały się eksponaty Toruńskiego Zrzeszenia K. K. Jak zwykle na każdym Zjeździe i wystawie, tradycyjnie, wzbudzały zainteresowanie i pochwałę liczne i staranne prace Kół Krajozn. z Krakowa, Żywca, Bochni, Wadowic, Włocławka, Działdowa, Czarnkowa i wielu innych, których z braku miejsca trudno wyliczyć.

Wieczorem w znanej już sali 62 p. p. — wieczornica z bardzo „urozmaiconym“ programem.

Następnego, z kolei drugiego dnia Zjazdu prastare mury Bydgoszczy, przykryte nieskażonym najmniejszą nawet chmurką lazurem niebios, skąpane złocistemi blaskami czerwcowego słońca, weselsze zdaje się i jakby młodsze, były świadkami uroczystych chwil młodych krajoznawców. Na ten dzień bowiem przypadał kulminacyjny punkt uroczystości zjazdowych.

Z rana, po solennem nabożeństwie w kościele Serca P. J., rozwinął się długi pochód, wijący się główniejszemi ulicami miasta jak olbrzymi, różnobarwny wąż. Szli karnie i dziarsko, szereg za szeregiem, członkowie Kół Krajozn. wszystkich nieomal województw — barwne krakowianki, strojni kujawiacy, w sztygarskich mundurach „pieronujący“ ślązacy, urocze obywatelki z pod herbu Syreny, śpiewające wilnianki, dumni poznaniacy i inni w nieprzerwanym ciągu, wzbudzając wśród licznie przyglądającej się publiczności szczere wyrazy zachwytu.

P r z e d p o m n i k i e m S i e n k i e w i c z a, na skraju uroczego parku, gdzie zatrzymał się pochód, by złożyć hołd wielkiemu pisarzowi, odbyła się piękna uroczystość. Po złożeniu wspaniałego wieńca oraz przemówieniach prezesa Bydgoskiego Zrzeszenia K. K. p. Bykowskiego i delegata miejscowego Oddziału P. T. K. p. redaktora Fiedlera, gdy u stóp autora „Krzyżaków“ zaintonowano Rotę — z kilkuset młodzieńczych piersi popłynęły wolno, dobitnie, twardo, majestatycznie, uroczyste słowa przysięgi narodowej i uniosły ją gdzieś ponad szlaki orłów, hen! wysoko, wysoko — pod stropy niebios...

I serce nieprzebraną jakąś dumą się napawało i oczy radośniejszym blaskiem jaśniały, gdy się patrzyło na ten olbrzymi tłum reprezentantów młodej Polski, nadewszystko oną matkę-ziemicę swoją miłujących, przybyłych hen! z daleka — od sinych szczytów Tatr, od szmaragdowych fal Bałtyku, od dalekich kresowych rubieży, po to, by tu, na odwiecznie polskiej ziemi pomorskiej dorocznym zwyczajem wspólnie zamanifestować wzniosłe ideały krajoznawstwa.

Po rozwiązaniu pochodu, w obszernej auli Żeńsk. Gimn. Hum. odbyły się o b r a d y M ł o d z i e ż y K r a j o z n a w c z e j.

Wiele mów powitalnych, obszerne sprawozdania, ciekawe odczyty, zmiana regulaminu K. K. M. S., depesze okolicznościowe, niespodziewane uzupełnienie kompletu Prezydjum Zjadu delegatami młodzieży (ku wielkiemu zgorszeniu marszałka obrad), rezolucje, nieco bardzo ży-

wej dyskusji, oklaski no i... humor wypełniły ten, jak się zdaje, wcale barwny program inauguracji Zjazdu. Z wygłoszonych referatów zainteresował słuchaczy ze względu na aktualny temat szczególnie jeden, którego prelegent prof. Wolf w sposób jasny, zwięzły i niezwykle zajmujący, przedstawił odwieczne zmagania świata niemieckiego ze słowiańskim oraz stopniowe cofanie się Słowian przed energiczną ekspanzją żywiołu germańskiego.

Po południu — przejażdżka na Czyżkówko, celem obejrzenia urządzeń technicznych jednej z największych i najnowocześniejszych śluz na kanale bydgoskim, następnie w drodze powrotnej, pieszo odbytej — przystanek na Wzgórzu Dąbrowskiego, by podziwiać stamtąd malowniczą panoramę Bydgoszczy i obu brzegów doliny Prawisły i na zakończenie zwiedzanie miasta oraz jego zabytków.

A nazajutrz, gdy trzeba było pożegnać ten gród, do którego tak się prędko przywiązało, z okien wagonów rozlegały się już głośno okrzyki: Niech żyje Bydgoszcz! Kochana Bydgoszcz! Dowidzenia! pochodzące z ust młodych krajoznawców, którzy po dwudniowym pobycie w jej murach odjeżdżali specjalnym pociągiem do Torunia, skąd szlakiem wycieczki pozjazdowej Toruń—Świecie—Kościerzyna—Kartuzy, nad polskie morze do Gdyni.

Toruń — serce Pomorza — gród Kopernika i inne same już nazwy elektryzują i wzbudzają zainteresowanie.

Trudno jednak opisać ogrom wrażeń, refleksyj, słowa pochwały i zachwytu szczęśliwca, który znajdzie się po kilkunastu minutach drogi w samych jego murach. Podobnemu losowi uległa również wycieczka pozjazdowa Młodzieży Krajoznawczej, której program nakazywał jednodniowy pobyt w Toruniu.

Na dworcu przybyłych gości w serdecznych słowach przywitał imieniem Komitetu Jubileuszowego 700-lecia miasta p. Makowski.

Uczestnicy wycieczki, po wysłuchaniu nabożeństwa w starożytnym kościele św. Jana, zostali podzieleni na szereg grup, które pod opieką przewodników Toruńskiego Zrzeszenia K. K., udały się na zwiedzanie miasta i jego licznych zabytków.

Czcigodne, omszałe wiekami, cicho zadumane nad swą bogatą ongiś przeszłością mury wspaniałych świątyń, ratusza, wież, śpichrzy oraz całego kompleksu starogotyckich domów mieszczańskich, liczne i cenne wystawy, potwierdzają w całości temu miastu zaszczytny przydomek „Małego Krakowa“ i wprowadzają każdego przybysza w odpowiednio podniosły nastrój. I gdyby nie hałas samochodowych klaksonów, mnogość świetlnych reklam i ów wielkomiejski rozmach Torunia, pragnącego w jak najszybszym czasie zdobyć odpowiednią szatę Stolicy Pomorza, możnaby było z powodzeniem odnieść wrażenie, że się cofnęło o kilka wieków wstecz do średniowiecznego miasta.

Uroczysta powaga gotyku, tkwiąca niemal w każdym zakamarku miasta, zdaje się być sprzeczną z charakterem i temperamentem jego mieszkańców, co doskonale uwidoczniło się wieczorem, gdy na zakończenie pobytu miłych gości, Zrzeszenie Toruńskie urządziło skromną, ale wesołą wieczornicę.

Zjawisko chronicznego „bujania“ i popełniania błędów przy udzielaniu objaśnień niektórych „szkolonych“, nieraz wcale sympatycznych

przewodniczek oraz jakiś tam podobno „gnato-łomny“ nocleg pewnej grupy żeńskiej na dziurawym strychu starego śpichrza, bynajmniej nie zaciemniały „Przybytkowi Pierników“ horyzontu zasłużonej sławy.

Na pożegnanie, w konkluzji spędzonego dnia, młodzi krajoznawcy bez zarzutu mogli potwierdzić wszystkie cnoty, jakiemi obdarzył Toruńczyków autor „Flisa“ Sebastjan Klonowicz, a zwłaszcza serdeczną gościnność, dzięki której pobyt w Toruniu stanął w szeregu najpiękniejszych fragmentów wycieczki.

Choć burza huczy w koło nas,
Weselmy bracia się...

„porykiwał“ pod nosem ten i ów, żądny wrażeń marynarskich, stojąc zmoknięty jak kura, na pokładzie statku, prującego monotonnie zielone fale królowej rzek naszych — Wisły.

A w rzeczywistości, choć burza wprawdzie nie huczała, to jednak drobny „kapuśniaczek“ przy akompanjamencie świszczącego wichru siekł od świtu, odbierając pięknej przejażdżce wodnej, jaką tego dnia krajoznawcy odbywali z Torunia do Świecia, przynajmniej połowę należytego uroku.

Mokra i smutna „atmosfera“ na pokładzie inaczej zupełnie przedstawiała się we wnętrzach kabin, tam:

Ucho pieściło śpiew i deklamacje,
Harmonji z grzebieniem muzyczne kreacje.
Śmiech towarzyszył zabawom wesoły,
Nie przeszkadzały modnym tańcom stoły.

Pasażerom, którzy wprawdzie nie lepiej czuli się od gromady śledzi, zapakowanych do ciasnej beczki, mimo panującego niedoopisania ścisku, tłoku, a stąd też nieszczególnie idealnej wietrzności — nie brakło różowego humoru, pozwalającego mile uprzyjemnić długi czas podróży.

Nawet pobyt na mokrym pokładzie nie należał do nieprzyjemności, jeśli wzamian za to uzyskało się możność obserwowania krajobrazów, uroczych, po obu stronach rozpościerających się brzegów Wisły. A krajobrazy doprawdy piękne.

Urwiste, malowniczo poszarpane zbocza, długie sznury łozy przybrzeżnej, łąki zielone, to znów szeregi rozłożystych topoli zmieniały się co chwila, czyniąc coraz to piękniejsze widoki.

Ze Świecia, dokąd wycieczka przybyła popołudniu, po zwiedzeniu zabytków miasta: fary, kościoła poklasztornego i zamku krzyżackiego — odjazd pociągiem do Kościerzyny.

Pobyt w stolicy Kaszub chociaż był krótki, ale taką nacechowany serdecznością ze strony jej mieszkańców, że na długo pozostanie w pamięci uczestników wycieczki. Na przybycie miłych gości miasto przybrało odświętny wygląd.

Na stacji wycieczkę witała grupa dziewcząt kaszubskich w ludowych strojach, specjalnie przybyłych za staraniem p. prof. Firlusówny, z Kartuz.

Z dworca krajoznawcy, utworzywszy długi pochód, udali się przy dźwiękach orkiestry kolejowej, przez udekorowane narodowemi flagami ulice miasta, do gmachu Starostwa, gdzie nastąpiła wspólna fotografja, poczem do gimnazjum SS. Urszulanek na uroczystą akademję powitalną, urządzoną staraniem niestrudzonej Opiekunki Koła Krajo-

znawczego przy tamtejszem Gimnazjum, p. Firlusówny. Resztę wieczoru wypełniono zwiedzaniem interesującej wystawy kaszubskiej.

Nazajutrz, dnia 19 czerwca, po wygodnym (najwygodniejszym na wycieczce) noclegu, specjalny pociąg zawiózł gości do Krzeszna, skąd rozpocząć się miała najpiękniejsza trasa wycieczki.

Szwajcarja Kaszubska...

Sama nazwa wystarcza do zrozumienia jej piękna. A cóż dopiero, gdy okazja pieszego spaceru pozwala jakiemuś szczęśliwcowi uchylić rąbek jej krasy, duszę nasycić urokiem jej czaru i wzrokiem popieścić



Uczestnicy Zjazdu przed gmachem Starostwa w Kościerzynie.

tysięczną rozmaitość przecudnych krajobrazów. Wówczas komentarze z tej wycieczki są zbyteczne, a wrażenia takie, jakie nieczęsto się spotyka w życiu i jakie nigdy z pamięci nieuchodzą. I przez ten przepiękny szmat ziemi pomorskiej, poprzez krainę tysiąca jesior, lasów, wzgórz i pagórków, gdzieniegdzie usianą cichemi strzechami Kaszubów, biegła trasa młodych krajoznawców, z Krzeszna, polnemi drogami i ścieżkami, przez Ostrzyce—Remboszewo—Zawory do Kartuz.

Gdynia. — Magiczne to słowo, elektryzujące każdego Polaka z najdalszych zakątków Rzeczypospolitej, stało się rzeczywistością w chwili, gdy pociąg, wiozący uczestników wycieczki pozjazdowej, stanął przed białym gmachem gdyńskiego dworca.

Witała młodych krajoznawców jak piękna, młoda królewna z baśni, do której z dalekich stron przybyli poddani, by, z oddaniem hołdu, wdzięk Jej krasy podziwiać.

Miljonem żarzących się świateł nowoczesnych reklam zaglądała każdemu filuternie w oczy i mówiła radośnie rozgwarem wielkiego

miasta: „Witam was mili przybysze! Patrzcie i podziwiajcie mą urodną postać! Cieszcie się razem ze mną mem wielkiem szczęściem!“

A było, oj było, co podziwiać.

Gdynia. — Cudem pracy, zaparcia i samozaradności Polaków z ubogiej wioski kaszubskiej w rekordowym czasie przemieniona w portowe miasto, kipiące tętnem wielkomiejskiego życia, z lśniącemi, szerokiemi asfaltami, potężnemi blokami nowoczesnych gmachów, z obszerną plażą, z wspaniałemi urządzeniami portowemi, no i — z rozkosznem morzem.

Morze! — Promienne i ożywcze!

Morze! Nasze polskie cudne morze!... Kojące wszelkie uczucia, jak słowa tego czarownego tanga i budzące swym nieuchwytnym urokiem, w najtwardszem nawet sercu, miast słów podziwu, których dobrać trudno, szczery, potężny, nieokiełzany entuzjazm.

Nic też dziwnego, że połowa pierwszego dnia pobytu w Gdyni przeszła oczekiwania krajoznawców, zwłaszcza, gdy zwiedzono holownikami port wojenny, handlowy i rybacki oraz zapoznano się z interesującemi osobliwościami nowoczesnego miasta.

A co z drugą połową dnia? nasuwa się pytanie.

Ano, czas popołud. również „przeszedł oczekiwania“ wycieczkowiczów, ale z odwrotnie imponującem wrażeniem, wywołanem przyczyną nieotrzymania długo oczekiwanego obiadu marynarskiego w koszarach na Oksywiu.

Z tego też powodu entuzjastyczny nastrój krajoznawców spadł już był do minimum, (bo wiadomo, Polak głodny — to zły) lecz szczęściem, rychły powrót do Gdyni i tam syty podwieczorek, piękna przechadzka na Kamienną Górę oraz smaczna kolacja w Etapie Emigracyjnym przywróciły go do poprzedniego stanu.

Następny dzień, 22 czerwca i zarazem ostatni wycieczki, upłynął pod hasłem przejażdżki na Hel.

Na Hel! Po pieszczoty rozigranych fal... po rozkosze nadmorskiego słońca...

Na Hel! Na Hel!

W chwili, gdy olbrzymi, biały, wycieczkowy parowiec „Gdańsk“ odbił od pasażerskiego molo i, wlokąc długi, kłębiasty pióropusz dymu, potoczył swem cielskiem na Hel wysokie zwały spienionych fal; gdy z lekkim podmuchem nadmorskiego wiatru załopotał majestatycznie na amarantowym prostokącie Biały Orzeł Rzeczypospolitej i, gdy kilkaset pasażerów, płynących pod Jego znakiem, spoczęło ciekawym, zamyślonym wzrokiem na błękitno-szafirowym bezkresie, zrodziła się w duszy stanowcza refleksja, wyrażona słowami znanej pieśni:

I póki kropla jest w Bałtyku
Polskiem morzem będziesz Ty,
Bo przez twe fale szmaragdowe
Płynęła krew i nasze łzy...

A długie, nieprzebrane szeregi kołyszących się fal Bałtyku, raz po raz obcałowywanych przez samotne mewy, szumem swym nieustannym potwierdzały zda się te słuszne słowa.

Tymczasem wąski, biało-zielony pasek wybrzeża, zmącony dziwnym wyglądem cudownego nowotworu — Gdyni, oddalał się coraz bardziej od pokładu, kurczył i malał.

Czas, trawiony kalejdoskopem wrażeń i uczuć, również szybko upływał i w niespełna godzinę cel podróży został osiągnięty.

Na Helu — flądry i plażowanie.

Krajoznawcy, niczem strusie, zaryci w złotym piasku lub szmaragdzie fal, zażywając rozkosznych kąpieli, spędzali błogie, wymarzone szczęścia nadmorskiego chwile długo, długo — aż niespostrzeżenie, na dziwaczno-kształtne sosny nadbrzeżne wkradły się krwawe refleksy zachodzącego słońca, zwiastując wieczór, powrót do Gdyni i tam — rozwiązanie wycieczki.

Krótka i wzruszająca była uroczystość pożegnalna. Jakiś żal dziwny ogarnął serca jej uczestników. Żal za szmaragdem morza, za wesołą Bydgoszczą, prastarym Toruniem, serdeczną Kościerzyną, czarowną Szwajcarją Kaszubską, żal za wesołem, beztroskiem życiem włóczęgi i za tem wszystkiem, co przez te dni kilka wspólnie losem dzielili.

Kilkoma przemówieniami i okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Jej Prezydenta, Marszałka, Premjera Jędrzejewicza oraz dzielnych i pracowitych organizatorów Zjazdu p. prof. Pankowiaka i płk. Zachary zakończono przeszło cztero-dniową wycieczkę pozjazdową, dzięki której Młodzież Krajoznawcza mogła poznać jak piękne jest, cenne i bogate polskie Pomorze.

Tego samego wieczora długo trwały jeszcze uściski koleżeńskich dłoni i długo białe mury gdyńskiego dworca nosiły echa słów pożegnania. Dowidzenia! Dowidzenia! — wołano. Do zobaczenia się na przyszłym Zjeździe Krajoznawczym we Lwowie!

I rozjechali się pod rodzime strzechy.

A pozostały te oto wspomnienia.

Fotografje ze Zjazdu nabyć można: z Bydgoszczy w sekretarjacie P. T. K. Oddz. Bydgoszcz, ul. Marsz. Focha 3.

Wystawa Krajoznawcza w Bydgoszczy.

W związku ze Zjazdem nastąpiło już w niedzielę 11 czerwca otwarcie »Wystawy Krajoznawczej« mieszczącej się w sali gimnastycznej Szkoły Wydziałowej przy ul. Konarskiego. Uroczystego otwarcia dokonał przewodniczący Komitetu Wykonawczego p. prezydent miasta Barciszewski. Akt ten poprzedziło okolicznościowe przemówienie p. red. Fiedlera, który imieniem miejscowego oddziału P. T. K. powitał obecnych przy otwarciu przedstawicieli władz duchownych i świeckich, składając organizatorom wystawy podziękowanie. Wystawa oprócz działu regjonalnego kaszubskiego (jak urządzenie chaty kasz., ceramika, hafty i t. p.), reprezentowanego jak najokazalej, obejmowała eksponaty prac młodzieży szkolnej z całej Polski i konkurs fotografji krajoznawczej. Całość uzupełniała bogata bibljografja Pomorza (od XVI wieku), oraz indywidualne wystawy prac regjonalnych art. malarza Rupniewskiego, p. Hentil Tippenhauerówny z Szwajcarji Kaszubskiej, p. Myszkorowskiego z Bydgoszczy, oraz dyr. P. Gimnazjum Humanistycznego Mazurkiewicza (obrazy: widoki z Helu) i hr. Tolla (jedyny w Polsce kompletny zbiór moli ziem polskich). Zamknięcie wystawy odbyło się w niedzielę 25 czerwca. Frekwencja bardzo słaba z powodu rozpoczętego już okresu wakacyjnego, to też wpływy kasowe nie pokryły nawet ubezpieczenia wystawy.

Konkurs fotografji krajoznawczej.

Dnia 17 czerwca odbył się konkurs fotografji krajoznawczej młodzieży. Członkowie Sądu Konkursowego podzielili nagrody w następujący sposób:

L. p.	Nagroda	Ofiarodawca	Nagrodzony i adres.
I.	aparat fot. (125 zł.)	„Persil" i Zw. Obr. Kres. Zach. w Bydg.	Koło Fot. IX. Gimn. w Krakowie, Michałowskiego 10.
II.	aparat fot. (108 zł.)	p. kons. Rolbieski Bydg.	E. Łysakowski, Wejherowo Konwikt.
III.	aparat fot. (75 zł.)	Oddz. P. T. K. Bydg.	K. Fotoam. P. Sem. Naucz. w Bydgoszczy.
IV.	aparat fot. (75 zł.)	„Kodak" Warszawa	K. Kr. P. Semin. Naucz. Pułtusk.
V.	aparat fot. (50 zł.)	nagr. młodz. szkół średn. w Bydgoszczy	K. Kr. P. Semin. Naucz. w Cieszynie.
VI.	światłomierz	p. adw. Sioda Bydgoszcz	Z. Sokołowski, P. Gim. Czackiego w Krzemieńcu W.
VII.	materjał fotogr. w cenie fab. 30 zł.	„Alfa" Bydgoszcz	K. Kr. P. Gimn. M. w Brzozowie woj. Lwowskie.
VIII.	materjał fotogr. w cenie fabr. 20 zł.	dto	B. Malak, Bydgoszcz Grunwaldzka 26.
IX.	5 tuz. klisz	„Ero" Poznań	K. Kr. P. Gimn. w Krasnym Stawie.
X.	filtr	Szkoła Podchor. Bydg.	K. Skalski, Nowy Targ, Rynek 12.
XI.	budzik	„Dziennik Bydgoski"	Trzcieliński P. Sem., Bydg.
XII.	album (15 zł.)	Drog. pod Łab. Bydg.	K. Kr. Gimn. M. Magdaleny, Poznań.
XIII.	album (8 zł.)	dto	K. Kr. Liceum Bess. w Krzemieńcu.
XIV.	podręcznik Gevaerta	„Greger" Poznań	K. Kr. Semin. w Działdowie.
XV.	Bułhak: Technika bromowa	Dr. Orłowski Bydgoszcz	K. Kr. P. Gimn. w Włocławku.
XVI.	dto	dto	K. Kr. Sem. Naucz. w Krzemieńcu.
XVII.	Rocznik wiadomości fotograficznych	„Greger" Poznań	Sekcja Foto P. Sem. Naucz. Żeńsk. w Krakowie.
XVIII.	dto	dto	S. Zajączkowska, Łódź, ul. Wólczańska 55.
XIX.	dto	dto	K. Foto Gimn. Ż., Siedlce.
XX.	Podręcznik fotogr.	dto	I. Czerwińska Zakład SS. Urszulanek, Kościerzyna.
XXI.	dto	dto	K. Kr. Szkoły powsz. nr. 3 i 5 Włocławek ul. Łęgska 20.
XXII.	dto	dto	K. Foto III. Gimn. w Tarnowie.

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 50 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 1·— zł., bez przesyłki 45 gr. wzgl. 90 gr. Przedpłata roczna 5·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Cena ogłoszeń: cała strona 50·— zł., pół strony 30·— zł., ćwierć strony 16·— zł.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 409.870. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor naczel. i odpowiedz.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków, Oleandry 4, II. p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis". Kraków-Dębniki, ul. Barska L. 41, pod zarządem Pawła Czuja.